

Józef Ciężki

Zawias, Kaukaz i ja

Spełnia się moje kolejne marzenie – wypłynę w morze na żaglowcu. I to jakim, na *Zawiszy Czarnym*. Jeszcze jako mały chłopiec, zbierałem po parę groszy, aby pod koniec każdego miesiąca kupić w kiosku Ruchu miesięcznik *Morze*. Wtedy wydarzenie to było dla mnie świętem. Czytałem od dechy do dechy, a potem od nowa. Jeszcze nie wiedziałem, że ta „choroba” jest nieuleczalna. Po iluś tam latach, pierwsza łódka wiosłowa zwana bączkiem. Potem patent żeglarza, trochę rejsów po jeziorach, głównie Wdzydzach. W dojrzałym wieku pierwszy jacht. Teraz mam już inny, nowszy, nazywa się *Pablo*, tak jak mój idol, oczywiście chodzi o malarstwo. Ale to wszystko nic. To tylko preludium. Cały czas tak właśnie widziałem swoje życie. Rejs wokół Ziemi. Znam sporo żeglarzy, którzy podróż życia odbyli w mocno dojrzałym wieku. Choćby sir Francis Chichester miał sześćdziesiąt sześć lat.

A ja, po tylu latach wyczekiwania, w listopadowy poniedziałek w samo południe, mam się zameldować na pokładzie *Zawiszy*. Czuję się, jakbym dostępował jakiejś wielkiej tajemnicy.



Czegoś kompletnie niezwykłego. Wiem, że mając pieniądze, każdy może wypłynąć na otwarte morze. Ale ja, płynąc w tym rejsie zamierzam wypływać limit mil niezbędny do otrzymania patentu sternika morskiego. Poduczę się także, co nieco, klasycznej nawigacji, przynajmniej mam takowy zamiar.

Na razie jestem cały podniecony. Pogoda zabójcza, tęgi wiatr i lekki mróz. Bałtyk jesienią to nie spacer po parku. Ale muszę to przeżyć z podniesionym czołem.

W Gdyni, na skwerze jestem już o jedenastej. Od Basenu Prezydenckiego, w którym stoi *Zawisza Czarny* w skrócie *Zawias*, dzieli mnie tylko, a może aż, brama. Niestety nie do pokonania. Jak się potem okazało jednak była otwierana w szczególnych przypadkach. Widocznie takowym nie byłem. Objechałem „Si Tauer” i od strony bramy wjazdowej do Dalmoru, dostałem się na keję, przy której cumował *Zawias*.

Szczerze mówiąc, wyglądał mniej imponująco niż na fotografiach.



Robiono je najczęściej przy pełnych żaglach i stąd to pierwsze wrażenie.

Pierwsza wachta na pokładzie, już obierała ziemniaki na powitalny obiad. Jest czternasty listopada, jednak na tyle ciepło, że obieranie ziemniaków może odbywać się na zewnątrz kambuza. Jak się okazało, była to tylko kwestia czasu. Wszystkiego miałem doświadczyć dopiero później.

Ukloniłem się banderze i wszedłem na pokład. Przyjemne lekkie kołysanie. Fantastyczne pierwsze odczucie. Przydzielono mnie do drugiej wachty. Zniosłem bagaże do kubryku. Ciasnota jak na poniemieckim U-boocie. Jak się potem okazało, *Zawisza* oprócz ciasnoty miał oryginalny silnik z prawdziwego U-boota.



Na dokładkę moja koja to zwykle siedzisko przy trzypiętrowej pryczy. Czyli tak zwana dostawka, szerokości deski do prasowania. Nie mogłem w to uwierzyć, a jednak był to fakt.

W żeglarstwie byłem przyzwyczajony do wydawania poleceń, a raczej komend, nie zaś ich wykonywania, tu miało być inaczej. Godząc się na rejs miałem tę świadomość.

Po obiedzie, zresztą całkiem dobrym, składającym się z trzech dań, odbijamy od kei. Piękny zwrot na cumie rufowej z odciąganiem dziobem i na dieslach odchodzimy od nabrzeża. W miejscu, gdzie stoi *Zawias*, jest bardzo wąsko. Wychodzimy przez główki portu na zatokę. Wieje nieprzyjemny wiatr z zachodu. Taka wredna trójka. Idziemy dalej na silniku. Oprócz stałej załogi, zgromadziła się nas, kursantów spora grupa. Chyba z pięćdziesiąt osób. Wachta kambuzowa przygotowuje kolację, cała reszta na pokładzie patrzy na znikające wolno światła latarni na Helu, potem we Władysławowie, a na końcu w Rozewiu. Skoro w takiej kolejności znikają, to znaczy, że płyniemy na północny zachód. Płyniemy na Bornholm. Ostatnie błyski i zostajemy sami w czerni listopadowej nocy na Bałtyku.

Moja wachta wzywana na pokład. Oficer „opiekujący” się nami, Tadeusz, informuje, co robimy. Każdy dostał swoje zadanie. Ja robię za „oko” na lewej burcie. Podłe zajęcie, szczególnie w takim silnym wietrze. Ale wszystkiego muszę zasmakować.

W połowie wachty głośnie dzwonienie oznajmia nam:

– Wszyscy na pokład, stawiamy żagle!

Wielkie topowe światła i działamy.



Postawienie ponad pięciuset metrów kwadratowych płótna, podzielonego na siedem żagli głównych, to nie w kij dmuchał. Jednak dobre wyszkolenie załogi plus nasza pomoc dają dobre rezultaty. Po pół godzinie wszystkie żagle postawione i w lekkim przechyle płyniemy naprzód.

Zmiana wachty. Możemy się ogrzać w kubryku i wypić coś ciepłego. Niektórzy popijają wzmocnione „herbatki”. Robi się ciepło i sympatycznie, że użyję takiego sformułowania. Po dziewiątej do naszego pomieszczenia schodzą: kapitan Waldek – dowódca *Zawiasa*, Andrzej zwany „Kaukazem” i kuk Jarek. Wszyscy z gitarami w dłoniach. Okazuje się, że będzie to przyjęcie zapoznawczo-rozpoznawcze. Trzej wyżej wymienieni panowie nie dość, że świetnie grają, to dwójka z nich, Waldek i „Kaukaz” świetnie śpiewają. „Kaukaz” jest liderem rockowej kapeli.



Rozpoznawanie i jednocześnie trwa do drugiej w nocy. Całe szczęście, że nasza wachta przypada dopiero jutro i to w kambuzie.

Calutką noc wiało niemożebnie. Dobrze, że nasz oficer miał nieco litości i pozwolił mi wisieć na relingu zamiast pracować. Dzień spędziłem na „dokarmianiu ryb”.

Wieczorem, gdy padłem na moją maleńką koję, ledwo zipsałem. Tak mogłyby wyglądać moje ostatnie godziny. W nocy wyskakiwałem jeszcze kilka razy, ale już nie było czym karmić. Zasnąłem na parę godzin. Sen okazał się zbawieniem. Rano wstałem prawie zdrowy.

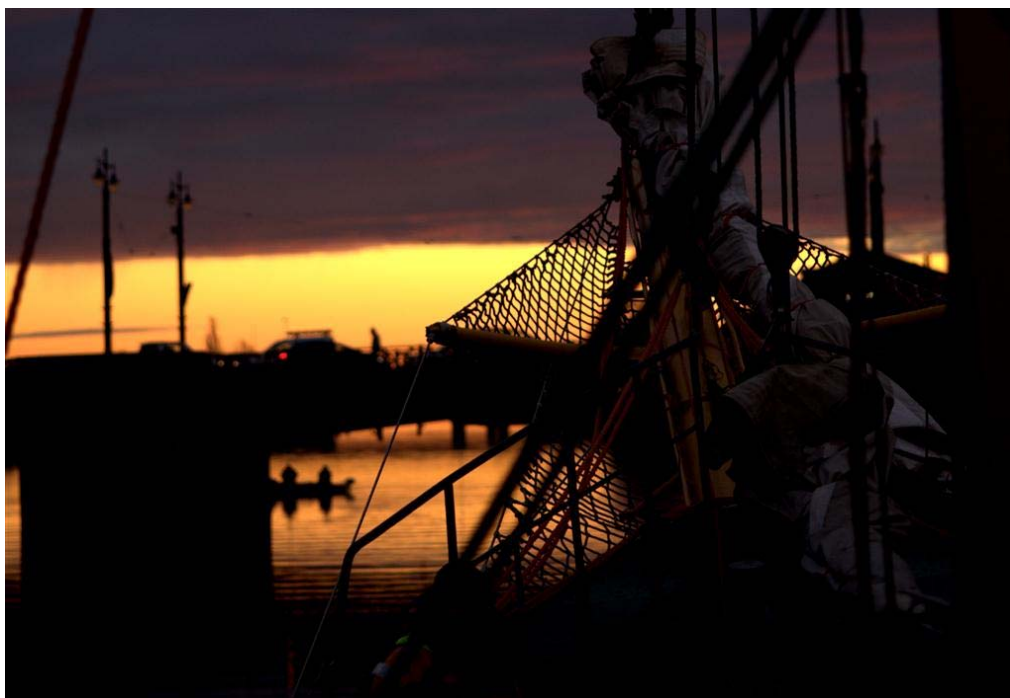
Byliśmy o dobrą drogę od Lipawy na Łotwie. Tak bez naszej wiedzy nastąpiła zmiana kursu na północny wschód. Następnego dnia, po południu zobaczyliśmy łód. Najpierw coś w rodzaju fatamorgany, a potem drzewa i łód.



Pod wieczór przywitał nas pięknie oświetlony tor podejściowy do portu i w od dali samo miasto. Podejście do kei kapitan wykonał w zoro. Młodzi ludzie na nabrzeżu chwycili nasze rzutki i staliśmy na cumach w Lipawie, byłym porcie wojennym Związku Radzieckiego. A ściśle mówiąc bazy okrętów podwodnych. Z prawej burty mamy wielki hotel. Puściutki o tej porze roku.



Przez okno wygląda ktoś, pewnie właściciel, z nadzieją patrzy na nasz żaglowiec. A my nic. Dalej miasto i sklepy. Nie ma za bardzo czego oglądać. Myślałem, że będzie okazja nareszcie się dobrze wyspać. Ale nic z tych rzeczy. W kubryku zebrała się cała załoga i naczalstwo, oprócz wachty trapowej. Balanga trwała do trzeciej nad ranem. Do tej pory nie rozumiem, jak oni nadawali się do pracy dnia następnego. A jednak. Odbijamy o siódmej rano.



Manewry poprowadził „Kaukaz”. I znowu zapachniało geniuszem. Wąski kanał, w którym cumowaliśmy, nie pozwalał na swobodne manewry. Zwrot na cumie rufowej, maszyny pół naprzód i idziemy dziobem w przeciwny brzeg. Gdy wszyscy myśleli, że wbijemy się dziobem w nabrzeże, komenda: – Maszyny stop!



Ster na bakburcie i maszyny pół naprzód. Dziób mija nabrzeże o metr. Uff! Niektórzy się spocili. Na brzegu słychać było brawa. Wychodziliśmy z Lipawy torem wodnym, którym wychodziły sowieckie okręty podwodne na Bałtyk. Robi to na mnie duże wrażenie, jestem przecież z tamtego pokolenia. Pokolenia potęgi socjalizmu. Trzeba dodać, że Łotwa jako państwo wtedy nie istniała.

Od pewnego czasu bujało nas już pełne morze. Płynęliśmy na północ używając jednocześnie żagli i silnika. Wiało ostro z dziobu i na samych żaglach *Zawias* włóklby się niemiłosiernie. Płynęliśmy tym kursem do późnego popołudnia. Nagle zapada nienaturalna cisza, i pokład przestaje wibrować. Słychać tylko walące o burty fale. Okazuje się, że to padł nasz diesel. Pamiętał, co prawda, czasy führera, ale nigdy jeszcze nie miał awarii. Pochodził naprawdę z niemieckiego U-boota z czasów drugiej wojny światowej. Musiał zepsuć się akurat podczas mojego rejsu? A niedawno pisałem coś o równowadze w pechu i szczęściu na jednego osobnika. Pięćdziesiąt lat obyło się bez awarii, a tu masz babo placek.

No i następna zmiana kursu. Zamiast wejść od zachodu do Visby na Gotlandii, płyniemy po zwrocie przez rufę na Hel. Zapadł zmrok i na trawersie prawej burty widać latarnię morską Fårösund na Gotlandii.

Wielka szkoda, bardzo chciałem zobaczyć tę wyspę. Na Kaszubach mieszkali we wczesnych wiekach Goci, kojarzy mi się to z Gotlandią. Chyba słusznie? Nie jestem pewien. Niestety wyspa powoli ginie w mroku i chłodzie Bałtyku. Jeszcze tylko błyski latarni na niebie...



Chłód nieco zelżał i roz pogodziło się. Za rufą wielki gwiazdzisty wóz, a kurs wyznacza pięknie świecący Jowisz. Chyba wisi nad Polską, skoro płyniemy kursem na niego, a w sumie na południe. Mam akurat wachtę za sterem. Myślałem, że to będzie znacznie trudniejsze, jednak dobrze dają sobie radę. Obok mnie stoi młody adept żeglarstwa. Widzę zachwyt w jego oczach, gdy opowiadam o astronomii i greckich mitach związanych z kosmosem. Bartek jest z Rybnika, tam oprócz zalewu nie ma więcej wody, więc musi łykać wszystko na zapas.

Może przedstawię naszą wachtę. Bartek, młody człowiek, o którym było wcześniej. Anetka z Krakowa wspaniała dziewczyna, dobry fotograf. Artur, ksywka „Król”, żeglarz morski z Bytomia. Połączyły nas poglądy i światopogląd na *wsio*. Bartłomiej „Starszy”, niezwykle wrażliwy zdolny fotograf i żeglarz. Jakby nieco zawiedziony życiem. Bardzo się zbliżyliśmy, duchowo. Jeszcze jeden młody człowiek zakochany w samochodach, zajmował się głównie opróżnianiem własnego żołądka czyli rzyganiem.

Wymiotowanie jest zarezerwowane dla kapitana. Marcin to jego imię. Jest jeszcze Zosia, z nią tworzę najstarszą parę na pokładzie. Jak szybko minął czas, kiedy do wszystkiego byłem za młody. Tempo przemijania jest niezwykle szybkie. Jak go co nieco przyhamować? Może ktoś wie?



Jesteśmy na środku Bałtyku. Ciemna, prawie czarna noc wokół. Jestem sam na pokładzie. Nie mam służby. Wyszedłem na pokład, aby odpocząć od ciągłego świątowania w kubryku. Znudziły mnie setnie wielokrotnie słuchane szanty, nawet w niezwykłym wykonaniu „Kaukaza”. Kapitan Waldek też świetnie grał i śpiewał, ale ja nie mogłem już tego znieść. Częste świątowanie zamienia się w codzienność i tak było tym razem. Dobrze, że na żaglowcu tej wielkości są miejsca, gdzie można pobyć w samotności. Napawałem się przestrzenią, kosmosem i wielką niewiadomą wiszącą gdzieś między wodą a nieskończonością wszechświata.



To były najpiękniejsze chwile tego rejsu. Jednak najlepiej mi na wodzie, kiedy jestem sam albo z niezbyt liczną załogą. Ten rejs pozwoli mi zdobyć patent sternika morskiego, czyli ostatni patent przed wymarzonym stopniem kapitana. Jak to pięknie brzmi! Ale trzeba jeszcze poczekać. Potem dwa lata stażu jako pierwszy oficer itd. itd. itd. Chyba wystarczy tych marzeń.

Jest noc z czwartku na piątek. Moja wachta objęła żaglowiec o godzinie zero zero. Pogoda jest piękna jak na listopad. Nic nie siąpi z nieba wieje mocno, ale do wytrzymania. Za rufą tradycyjnie Wielki Wóz a przed dziobem z lewej Jowisz. Gdzieś daleko z przodu, za horyzontem, Hel i Gdynia. Steruję. O drugiej w nocy ekran pokazuje z lewej burty duży obiekt idący na przecięcie z naszym kursem, a na trawersie z prawej – platformę wiertniczą Petrobaltiku. Zdawałoby się, że brzeg musi być blisko. Ale to tylko chciejstwo.

Idziemy prawie siedem węzłów na godzinę. Jak na *Zawiasa* to całkiem sporo. Na Helu mamy być jutro po południu. Idę po kawę do kambuza. Można ją sobie robić samemu. To bardzo cenne, że lodówki i wszystko co związane z wyżywieniem, jest dostępne dla załogi przez całą dobę. Kawa stawia mnie mocno na nogi. Z lekka przysypiałem.

Za półtorej godziny koniec wachty. Z „Królem Arturem” snujemy plany na przyszłość. Tak samo jak ja, rozczarowanym żeglugą na tak wielkiej jednostce. A przede wszystkim ilością ludzi na pokładzie i sztucznymi archaicznymi zasadami, kompletnie niewspółgrającymi z sytuacją w danym momencie na pokładzie. Krótko mówiąc popisy młodych oficerów.

Zaplanowaliśmy rejs na Morze Północne wiosną przyszłego roku. Z wejściem do Amsterdamu. Chodzi o rejs na wody, gdzie są pływy, czyli zmiany poziomu wody związane z przyciąganiem Księżyca. Byłem w Amsterdamie samochodem, zaś Artur jachtem i właśnie tak ma wyglądać ta podróż. Cztery, góra pięć osób załogi, zgranie, zrozumienie, jeden cel.

Koniec wachty. Idę do koi. Mam już serdecznie dosyć twardej wąskiej ławeczki, na której przyszło mi spać u boku grubej, jak beczka kapusty Ślązaczki.

Śpimy przedzieleni dwudziestocentymetrową deską. Ciekawe po co?



Ale mniejsza o to. Już niedługo wyśpię się we własnym, szerokim na dwa metry łóżu, bo takie właśnie mam.

Im bliżej lądu, tym gorzej z pogodą. Mgła rozpełzła się wszędzie i wiatr coraz większy. Zaczęło szkważyć i to solidnie. Pokazały się pierwsze mewy, teraz ląd jest naprawdę niedaleko.

Hel zobaczyliśmy w piątek mocno po południu. Musimy podchodzić na żaglach. Silnik puszcza wodę i w połączeniu z olejem powstaje ciecz o konsystencji śmietany, która może spowodować zatarcie silnika. Jednym słowem, silnik może pracować, ale bardzo krótko. Potem szybkie czyszczenie i tak dalej. Już w basenie portowym zrzucamy żagle. Dobijamy na silniku do rybackiej kei. Po chwili zjawia się jakiś człek i każe nam się przesunąć o dwieście metrów w lewo, gdyż moglibyśmy przeszkadzać powracającym z łowisk kutrom. Manewr robimy na cumach. Czyli burłaczymy.

Moja wachta ma wolne. Zostaję sam. W kubryku znowu bal. Jest ciemno, ale port jest dobrze oświetlony. Postanawiam pospacerować po porcie. Jest cicho i spokojnie, dwie załogi rozładowują swój połów. To jedyni ludzie w porcie oprócz nas. O zgrozo, w wodzie wygląda, jak na miejskim wysypisku śmieci. Pełno butelek, puszek, opakowań plastikowych i wyrzuconych przez rybaków dorszy. Przygnębiający widok.



Rybacy sami sobie robią krzywdę, nawet o tym nie wiedząc albo nie rozumiejąc. I to kto, Kaszubi z dziada pradziada wychowani nad czystym „mleżem”. Parę dni wcześniej byliśmy na Łotwie, tam rzeka, a raczej kanał portowy, na którym cumowaliśmy, był czyściutki. Szkoda że nie zrobiłem zdjęć. Ale może kiedyś ludzie coś zrozumieją? Trzeba mieć nadzieję. Wielki wstyd! Wyobraziłem sobie wpływające w te śmieci jachty z Holandii czy Szwecji. Jakie będą komentarze? Nie trudno się domyślić. Szkoda gadać. Wnioski nasuwają się same.



Balanga dobiega końca. Schodzę do kubryku i szybko zasypiam. Jeszcze szybciej budzi nas dzwonek. Wszyscy na pokład. Jest szósta rano odchodzimy od nabrzeża. Pierwszy raz nie tak doskonale jak poprzednio. Czyżby efekty świętowania? Pęka z hukiem wielki odbijacz i burta szlifuje betonowe nabrzeże. Ale odchodzimy. Stawiamy żagle. Jest zimno, wilgotno i mocno wieje. Jest nieprzyjemnie.

W kubryku podano śniadanie, schodzę po schodach pogwizdując z cicha melodię z *Czterech pancernych*.

Nagle za mną słyszę głos ...tu się nie gwizda... mówi to tonem, jakbym co najmniej kogoś zgwałcił. Do kurwy nędzy, to panosząca się po pokładzie gówniara, bzykantka jednego z oficerów (równie nieprzyjemnego jak ona). Odpowiedziałem nieco za głośno ...u mnie na pokładzie się gwizdże, a nie gwizda, żeglarzem zaś jestem prawie dwa razy dłużej niż ty żyjesz i zламаłem prawie wszystkie zakazy i nakazy, więc jeden więcej nie robi mi różnicy.

W kubryku podniósł się rechot. Odeszła solidnie zbita z tropu.



Kawa była bardzo dobra i z nowymi siłami wyszedłem na pokład wyglądać Gdyni. Wokoło mgła. Wiatr wieje z południowego zachodu, idziemy półwiatrem przechodzącym w bajdewind. Prędkość spora, około sześciu – sześciu i pół węzła. Ciągłe manewry, aby nie rozjechać rybackich sieci, których wokół pełno. Niektóre prawidłowo oznaczone, inne słabo lub w ogóle.

Nagle przez mgłę widzę ład.



Poczułem się jak marynarz Kolumba. Co za wrażenie! Tak ciemniejszy pasek lekko poszarpany. Z lewej w odległości dwóch kabli pława. Zaczyna się tor wodny portu Gdynia!

Szliśmy prawym halsem i trzeba było zejść daleko za Port Północny w Gdańsku, aby po zwrocie wejść lewym halsem do Gdyni. Gdyby silnik działał, płynęlibyśmy zupełnie inaczej. Ale silnik był nadal kontuzjowany. Czas dłużył mi się okropnie. Byłem od jakiegoś czasu gotowy do zejścia na ląd. Przy kei czekał na mnie mój stary Merc, za którym już się trochę stęskniłem. W główki basenu wchodziły na żaglach. Na plażach i kei pełno ludzi z aparatami, musiało się roznieść przez radio, że będziemy wchodzić na żaglach. Dawno nikt tak dużą jednostką tego nie robił. Następnym powodem do małej dumy.

Jak zwykle u „Kaukaza” – dobiecie na pudełko zapalek, istny majstersztyk. Pożegnania z moją wachtą. Teraz widać dopiero, jacy to wspaniali ludzie. Z niektórymi poumawiany jestem na przyszłość. Trochę tkliwości wkrada się na pokład. Zabieram papiery i znikam, żeby się nie....

Siedzę w moim autku i wydaje mi się, że jest gorąco, jak na Saharze. Dopiero po chwili dociera do mnie, że to już po. Jestem sternikiem. Ha!

s/y Zawisza Czarny,
Rejs: Gdynia – Liepaja – Hel – Gdynia;
14 – 19 listopada 2011

Tekst: Józef Ciężki
<http://jozefciezki.pl/tl/STRONA-STARTOWA.htm>

Zdjęcia: Bartłomiej Bielawski